

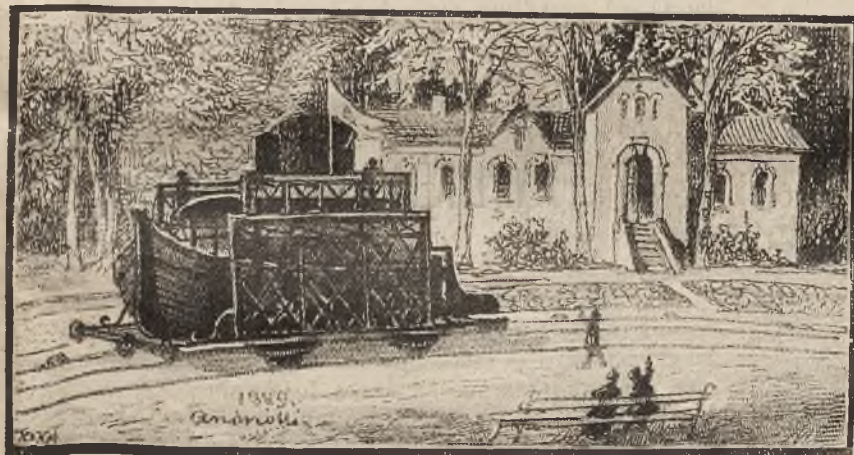


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Stacyjka kolei wodnej.

### Korespondencya Wieczorów Rodzinych.

#### II.

Błogosławi też im widać Pan Bóg, bo wszyscy z rybołówstwa tylko żyją. Główne połowy są na łososie, stornie, czyli flondry i węgorze; zyskiem dzielą się wszyscy członkowie maszoperyi, odkładając pewną część na potrzeby kościelne, na wdowy i chorych. Z tego, co mi opowiadał Walisz, mocno żałuję że tu nie był na początku marca, kiedy „idą” łososie. (Szkoly tutejsze mają wtedy ferye, a ja się poczęz obawy, jaką będę miał cenzurę na Wielkanoc!) Każda maszoperya ma swoją „toń” czyli miejsce, gdzie ma prawo zapuszczać niewody i swój

niewód, a zdarza się czasem, że wyciągną od razu i ze dwie kopy łososi, które na piasku nadbrzeżnym dobijają uderzeniami kija po karku. Nie powiem, żeby ta ostatnia czynność była przyjemną, ale bez tego podobno obejść się nie można.

Stornie łowią od Zielonych Świąt, aż do końca lipca i jeżeli na przyszłe wakacje znowu pojedę do Sobót, to już obiecał mi ojciec Walisza, że mnie z sobą weźmie na morze. Tak stornie jak i węgorze łowią rybacy na sprzedaż, na swój zaś użytek obracają połów breitlingów, które u nas w Warszawie nazywają „sprotami”. Ile razy jem je teraz, tyle razy staje mi na oczach Jastarnia i chata rodzinna

Walisza i morze i ładne sieci, wszystko co z wykładami profesorów, nie ma żadnego związku!

W zimie pojawiają się tu podobno cieleta morskie, które lubią wychodzić na krawędź lodu i tam sobie leżą spokojnie, ale tak są płochliwe, że za najmniejszym hałasem zaraz uciekają do wody. Rybacy otaczają więc lód ścianami z sieci, w których płaczą się „zielinty” i duszą; mięso ich uważane jest za potrawę postną, a tran z nich wytapiany przysparza dochodu rybakom, którzy z gruntu nie wiele go mają. Rodzi się tu tylko trochę kartofli, a wspólna łąka dostarcza siana, które współwłaściciele dzielą między siebie w bardzo zabawny sposób. Gdy już siano skoszone i suche, układają je w tyle kopie, ilu jest sąsiadów, poczem sołtys jastarnicki, trzymając w ręku spis współwłaścicieli, staje na łące obrócony, plecami

do kopie, a jeden z rybaków, zbliża się do którejkolwiek kopycy pytając: „Czyja ma być?” — „Józefa” — odpowiada sołtys i w ten sposób kopice rozdziela. Nie wystarcza jednak tego siana na wyżywienie dobytku (choć prócz łąki wspólnej i wspólnego pastwiska, każdy ma jeszcze kawałeczek własnej) i dla tego też pomorzanie żartując sobie z jastarnickich sianozbiórów, opowiadają iż na rybakach jest jedna tylko krowa, ale że jej niema czem żywić, więc też prowadząc ją na piaski, kładą jej zielone okulary, aby myślała, że ją na pastwisko wypędzono: inaczej zdechłaby z głodu!

Niewielka łąka pastwiska mile jednak łąki oko zielenią, a jeszcze miłszym od niej jest nieznaną lasek, który się ciągnie wzdłuż całego półwyspu. Tu, zewsząd poważnemi sosnami otoczony, leży cmentarz miejscowy, czarnemi sztachetami ogrodzony. Niema tu mogił, bo wiatry od morza wiejące rozwiałyby niebawem usypaną z piasku mogiłę, ale miejsce spoczynku zmarłego oznaczone krzyżem, na którym obok nazwiska i imienia stoi często „merk”, to jest znak, w rodzaju niby herbu szlacheckiego. Każdy rybak ma swój i znaczy nim wszystko co do niego należy, nawet krzyż swój grobowy! Niedaleko cmentarza stoi w lesie szopa z przyrządami potrzebnymi do ratowania ludzi w czasie rozbicia się okrętu i pokazywał mi Walisz grób, w którym leży stryj jego razem z uratowanym przez siebie rozbitkiem. Z narażeniem życia rzucił się po niego w rozhukane morze i szczęśliwie dopływali już obaj do brzegu, gdy belka fałd niesiona, spadła na nich z wysokości ogromnego bałwana i zatopiła obu... Ciała ich morze wyniosło i pochowano ich obok siebie pod jednym krzyżem, a Walisz opowiadając mi o tem, miał na twarzy wyraz uczciwej dumy i znać było po nim, że wspomnienie owego stryja ze czcią chowa w pamięci!

Rozpisałem się tak dużo o samej Heli, a tu jeszcze wspomnieć by warto o wycieczkach, jakie z Sobót robiliśmy w okolicy. Jedną z najmilszych była wycieczka do Buchwałdu, gdzie napatrzyłem się i nasłuchiłem rzeczy, o których byłoby dużo do mówienia... Tymczasem opiszę wam tylko rzecz bardzo ciekawą: kolój wodną. Starsi z panów kolegów (*moich* kolegów, bo filologowie nie ciekawi bywają tego rodzaju wiadomości) słyszeli zapewne o jeziorach Hłowskich? Są one połączone z sobą kanałem, który do Elbląga prowadzi na przestrzeni około 70 kilometrów. Część tego kanału wynosząca kil. ze 30, napotyka na swęj drodze kilka sporych pagórków, które potrzeba było rozkopać, by móżdż przez nie przeprowadzić kanał. Inżynier jednak inaczej to sobie obmyślił: zamiast je przekopywać, przewozi przez nie statki na żelaznych wozach poruszanych siłą turbin a biegnących po relsach. Dzieje się to tak: statek idąc sobie kanałem: u stóp wzgórza spotyka ogromny wóz żelazny (macie go na rysunku, zanurzony w wodzie, i umocowany na tymże wozie, jedzie na nim po relsach pod górę siłą motoru wodnego, poruszanego łańcuchem bez końca, który to łańcuch przyczepiony jest do wozu) i na szczycie wzgórza spotyka się z drugim, takimże samym wozem, ale pustym, który wyruszył na jego spotkanie w tej samej chwili, gdy ten pierwszy puścił się w górę. Wtedy statek przesuwają się po relsach z wozu pierwszego na wóz drugi i na nim po relsach zjeżdża w wodę.

Prawda, jak to dowcipnie obmyślane? Jam się tego napatrzyć nie mógł, takie to proste a pożyteczne i mądre! Niech sobie Julek gada co chce, niech wychwalał mądry mechanizm greckiej mowy i „matematycznie ścisły” (jak on mówi), rytm

homerowskiego wiersza, ja swoje powiadam, że matematyka i mechanika, to mi rzecz! Takich stacyjek kolejowych jest 5 na przestrzeni 30 kilometrów, jedna z nich w Buchwałdzie, gdzie prócz tej osobliwości, jest druga jeszcze: ogromna lipa prastara, niedaleko dworca stojąca. Milczy jednak, gęstym liściem szumi tylko, a choć w pustem jej wnętrzu schować się może pięć osób, mimo to rok rocznie osypuje się kwiatem i złote pszczołki ńęci. Jak wygląda prawdziwa matrona, to także rysunek wam pokaże, ja kończyć muszę, bo nie wiem, co powie redakcyja na to długie pisanie — a przyznaję, że z żalem kończę. O Sobotach, o Gdańsku, a szczególnie o Heli i o Kaszubach miałbym co opowiadać bez końca, tak mnie ten „ród pokrewny” wziął za serce swoją prostotą i szczerością, tak mi się podobał ten samotny półwysep, po którym się wichry morskie gonia i to życie monotonne niby, a przygód pełne, swobodne a jutra niepewne... Na pamiątkę pobytu „na Rybakach” nauczyłem się pieśni, którą nieraz śpiewałem z nimi na morzu. Znać je, bo ją w zeszłym roku drukowały nasze kochane Wieczory.

Panienci zapewne ciekaweby wiedzieć, jak się ubierają rybacy, a szczególnie rybaczki. Niestety! mało o tem objaśnić je mogę, bo nie bardzo się znam na szczegółach stroju białogłowskiego; o ubraniu mężczyzn dokładne da pojęcie rycina; w kobiecem uderzyły mnie głównie czepeczki „*mucami*” zwane, a noszone przeważnie przez starsze kobiety. Jest to coś w rodzaju czepka, czapki, kapturka, sam niewiem co... bramowane koronkami, bardzo jakoś „*antycznie*” (tak się u nas w szkole mówi) wygląda, tak, jakby właścicielka ze starego portretu zeszała.

A teraz polecając się łasce waszej, proszę, niech ci, którzy zajmie opis okolicy, kreślony z takim upodobaniem, wybaczą mi przydługi może list i w życzliwej pamięci zachowają.

Józio.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Szandor osłupiał usłyszawszy te słowa: on sądził że ojciec go znienawidził za nieposłuszeństwo, aż tu on go serdecznie kocha, tak jak o tem nieraz matka usiłowała przekonać jedynaka. Był taki wzruszony że ani mu przez myśl nie przeszło iż poniżającym jest czynem podsłuchiwać, matka tymczasem mówiła znowu:

— Ale bo widzisz, cóż dzieciak winien że mu serce do puszy przylgnęło, że pragnie koniecznie żyć takim życiem, jakie z nami tu w czardzie stepowej rozpoczął... A ty go przymuszasz żyć w mieście, śleńczy nad prawami książkami, łykać kurz ze starych zaplesniałych papierów: zamknijże młodego dzikiego żrebca w ciasnej stajni na całe życie, a zobaczysz czy wytrzyma!

— Słuchaj-no Huska — zniżając głos, jakby w tajemnicy ojciec poszeptął — wesoło jest żyć tu w stepowej gospodzie, to prawda, i dorobić się nawet można i co niedziela huczno zabawić, ale... Czy ty pamiętasz jak przed laty broniłaś mi dziecko brać do lasu, aby się z szegeny legeny nie spotkało? jakby już samo to spotkanie ujmą i krzywdą było dla dziecka. A przecież my sami oboje, usługujemy co niedziela biednym chłopcom... Czy wiesz że mi czasem aż wstyd przed samym sobą że złodziejom posługuję? Czy wiesz, że bardzo często przyjmując od nich pieniądze, które mi się przecież rzetelnie za poczęstunek należą, aż mi ręka drży, bo...

— Och — jęknęła cicho wpadając mu w słowo kobieta — ileż ja nocy z niedzieli na poniedziałek na kolanach przemodłę gdy goście się rozjadą, i pieniędzy zarobionych przez niedzielę dotknąć się boje, bo zda mi się że widzę na nich krew!... toż szegeny legeny nietylko kraść umieją!...

— A widzisz!... a dziecku trudno to tłumaczyć, bo nie zrozumie aż poczuje, tak jak my. Więc co dziwnego, że rad bym jednemu innemu życiu zgotować?

— Słusznie mówisz mężu, słusznie — westchnęła kobieta — ale widzisz, dziecko nasze bardzo, ani wiem czemu delikatne jest i tkliwe, innego parobczaka w jego latach, choćby ojciec obił, toby mniej poczuł niż Szandor surowe słowo poczuje, a już złego słowa twego chyba wcaleby nie zniósł i życiem przypłacił, a tyś popędliwy...

— To prawda — mruknął gospodarz — ja to sam wiem do siebie i za nic na świecie nie chciałbym na dziecko moje złego słowa rzucić, ale...

— Otóż widzisz! oba się jednego boicie i unikacie się wzajemnie, a toż przecież można się i pogniewać na niemądre dziecko i przebaczyć a przeprosić się pozwolić, gdy poprawę przyrzecze...

— Oj, byleż się poprawił! A wszak o nic jeno o jego własną przyszłość mi idzie! — jęknął ojczysko.

Szandor już nie słuchał; zsunął się na ziemię, ukląkł i płakał. To co usłyszał oświeciło go; teraz dopiero otworzyły mu się oczy na postępowanie ojca. Zrozumiał miłość ojcowską, usiłującą gwałtem, choćby kosztem łez własnych i ukochanego dziecka, ocalić to dziecko od bolesnych a skrytych cierpień w przyszłości.

Odtąd rodzinne stosunki w Petöfiowej czardzie polepszać się zaczęły; syn i ojciec, jeden ośmielany, drugi łagodzony przez serdeczną matkę, zaczęli zbliżać się do siebie. Nigdy wszakże Szandor nie padł ojcu wprost do nóg, tak jak sam tego pragnął i przeprosiwszy nie otrzymał przebaczenia stanowczego i nowego błogosławieństwa, acz czuł doskonale że toby dłoń najlepszym było, że moc błogosławieństwa może uspokoiłaby mu duszę, dziwnie szarpaną sprzecznymi uczuciami, odkąd się z pod dawniejszego wyłamał... Ale cóż było czynić kiedy sama matka radziła chłopcu aby tego nie czynił... a on nie wiedząc przyczyny zakazu, bał się ojca po dawnemu i milczał, czyniąc to tylko co mu kazano. Przyczyną tego dziwnego postępowania matki, była wyraźna wola ojca, objawiona jej kiedyś pocichu na ucho:

— Tylko niech mi dzieciak do nóg nie pada i nie przeprasza ręce składając, jak to on lada czego miał zwyczaj robić gdy mały był, bo ty wiesz Iluska że ja tego znieść nie mogę, zaraz bym tak jak dawniej chwycił go na ręce, łzami oblał i w końcu wszystkoby się stało tak, jak chce dziecko, nie zaś jak ja... a tak być nie powinno, bo dziecko nigdy mądrzejsem nie jest od rodziców. Wszak i dawniej posiłem cię zawsze, żebyś do takich przeprosin nie dopuszczała: pamiętaj że to zbyt dobry ojciec, który ciągle powodować się daje, traci w końcu powagę wszelką w oczach niemądrego dziecka, gdyż ono nie jest w stanie dziecięcym rozumem serca ojcowskiego ocenić... i z czasem szanować go przestaje.

Petöfiowa uznawała prawdę słów męża; jak sama do dzisiaj szanowała ojca swego, żyjącego swobodnie u syna na przedmieściu Temeswaru, tak i dziecku życzyła własnego ojca szanować. Prawdą też szczerą było że Petöfi zawsze od małych lat Szandora, usiłował wystrzegać się z nim gniewów i przeprosin, bo gwałtowna a szczerą naturą dziecka, rzucającego się odrazu do nóg ojcu, rozbijała go zawsze do łez i wszelki opór niweczyła. A Petöfiowa doskonale i to rozumiała, że co uchodziło z małym dzieckiem, to byłoby niewłaściwym zupełnie z chłopcem wyrostkiem.

Dla takich to dość głębokich przyczyn nie przychodziło między ojcem i synem do otwartego i szczerego pojednania, jakkolwiek powoli przyszło do tego, że Szandor za radą matki, ośmielił się pojawić w gospodarskiej izbie w ojca obecności, a ten udał że go nie widzi i zaraz wyszedł... Na drugi dzień chłopak zawsze namawiany i ośmielany przez matkę, poważał się pocałować rękę ojca, a ten zniósł to w milczeniu i sprawa-

mi gospodarskiemi z żoną zagadał... Odtąd szło już tak dalej samo z siebie, bez serdecznego pojednania, ale coraz przyjaźniej, aż znowu jak dawniej małeńka, z trojga ludzi złożona rodzina, zaczęła siadywać razem szarą godziną na ławie przed domem, lub przy ogniu, gdy zima nadeszła, i pracowała wspólnie. W tych to chwilach rodzinnej zgody, zarówno upragnionej przez wszystkich, zapowiedział ojciec Petöfi że ma zamiar odwieźć syna do lieum w Szoproniu na dalszą naukę. Szandor zmilczał; w głębi duszy gotów już był na wszystko dla spokojności domowej, jakkolwiek nauka w Szoproniu zapowiadała dalsze ślęczenie nad papierami, w celu zostania prawnikiem: ojciec uparcie obstawał przy swym zamiarze. Przygnębiony ciężarem tej myśli, Szandor siedział raz na ławie przed domem, w chwili gdy ojciec zajęty był robotą z parobkami, a matka domowemu gospodarstwem... A wtem znajomy głos pisnął w pobliżu, dźwięcząc a raczej skrzecząc dziwnie dziką jakąś piosenką, przerywaną szyderym sowim śmiechem.

— Hi hi!... jak się masz pieśniarzu! A kuku!

Dużo sławy uzbierałeś na bruku?...

Dużo pieśni wyśpiewałeś na strychu?

A robota była z grzbiem, pocichu?...

Oj wypisał ci pieśń tatuś na grzbiecie

Że aż sława chodzi o tem po świecie...

„Biedni chłopcy” kanasz, juhas, czikoso,

Cała pusztą wyśpiewuje twe losy! hi hi!...

Oslupiały zrazu chłopak zerwał się przy ostatnich wyrazach, i w uniesieniu gniewu rzucił się na podrygującą do taktu swęj piosenkę, małą i chudą postać w czerwonej płachcie... ale ta uskokczywszy za węgiel gospody, znikła. Trzęsąc się cały jak w febrze, pod wpływem nieznanego mu dotąd przykrego uczucia, Szandor obszukał wszystkie kąty, zajrzał nawet do wnętrza psiej budy i nie znalazłszy czerwonego licha, wrócił błady z zaciśniętymi ustami na ławkę, patrząc bacznie naokoło, w nadziei że cyganka ukaże się jeszcze. Tymczasem, z roztwartego tuż za węgiem okna od sypialni gospodarzy, wyskoczyła Marcha, skrywszy się tam w słusznym przekonaniu, że Szandor jej o podobne zuchwałstwo nie posądzi, a więc nie szukając gdzie nie spodziewa się znaleźć, nie znajdzie. Nie myliła się pod tym względem; nie Szandora też, lecz Janosa ciężka ręka chwyciła ją za kark niespodzianie:

— Czarownico przekłeta!... a ty czego dziecko przeciw ojcu podburzasz? — zawołał parobek-wychowaniec, drżąc z gniewu, tem bardziej że sam był już ojcem, doświadczonym człowiekiem i zamiar Marchy lepiej od Szandora rozumiał, posłyszawszy przypadkiem z za płotu jej sową piosenkę.

— Czego?... on, on dowie się, gdy stanie się to co mu obiecałam... a ty, precz!... nie podnoś na mnie ręki!... na mnie przed którą lepsi niż wy tu wszyscy od morza do morza jesteście, proch zmiatać mają!... pamiętaj że i ty masz dzieci! — zawyła nie ludzkim głosem, rozgniewana tak, że iskry z czarnych oczu sypały jej się zdawały, i zwinnym jak hyena ruchem wyśliznąwszy się z rąk, niby obezwładnionych, wylekłego niewiedzieć czemu parobka, znikła znowu w najbliższym zaułku... wśród opłotków...

— Szatan chyba prawdziwy... — mruknął z przestrachu Janos, nie umiejąc inaczej wytłumaczyć sobie silnego wrażenia, jakie wywierały na wszystkich oczy wół dzikięj, a chytręj i łośliwęj kobiety.

Wiatr poniósł w przeciwną stronę odgłos tej rozmowy i Szandor o nię nie wiedział, siedząc nieruchomo na ławce przed domem. Szumiało mu w uszach, serce biło gwałtownie, jakby pierś rozbić miało, palący gorączkowy rumieniec wystąpił na lice i śmiertelna bladeść spędzała go znów po chwil.

Czy to zwierzęcym instynktem szkodzenia wiedziona, czy też głęboką znajomością serca ludzkiego, Marcha chcąc zburzyć spokój dziecka, aby zamiary ojca zniweczyć, doskonale cios swój wymierzyła i trafiła prosto w serce. Poraz pierwszy w życiu ogarnął Szandora wstyd szalony, bolesny, gryzący, zjadliwy. Cała pusztą więc już wyśmiewała się z niego, wyszydzała go. Zniewaga w szkole poniesiona, niezaradność w stolicy, śmieszna nieudolność w aktorskim rzemiośle, poni-

żające stanowisko posługacza teatralnego, dziecinna słamazar-  
ność z jaką pozwolił zabrać się ojcu, niby jagnię wrzucone do  
do wozu, niezdarna próba ucieczki, zamknięcie na strychu do-  
bre dla dzieciaka, ale znieważające piętnastoletniego poetę...  
i na koniec ta straszna nikczemna potwarz ostatnia, piętnująca  
go hańbą na wieki... wszystko to, zarówno prawda jak plotka  
złośliwa, rozniosło się już z wichrami po puszczie! O hańbo!  
o wstydzie! I to wszystko stało się przez ojca!...

Nie przyszło na myśl chłopcu, że stało się to przez niego  
samego przede wszystkim, rozbudzona próżność i wrodzona  
drażliwość potęgowały do nieskończoności w jego oczach fakta,  
i ich następstwa: czuł jakoby niebo się zapadało i ziemia usu-  
wała mu z pod stopy. Chłopiec zdumiewający niegdyś ludzi  
rozsądkiem, teraz, gdy nędzna próżność zawróciła mu głowę,  
stawał się na nowo dzieckiem prawie, i to śmiesznym dzieckiem.

Już dawniej trwożyła się, gdy Szandor nie chciał wcale bujać  
konno po puszczie, co przecież było dlań niegdyś rozkoszą.  
Jakże miał teraz bujać gdy pewien był że wszyscy pasterze  
czikosy, juhasy, kanasze, szegeny legeny, cała puszcza wyśmie-  
wają się z niego. I jak nie miał zalewać się łzami i łkać że-  
gnając matkę przy odjeździe, kiedy pewny był że więcej jej  
w życiu nie ujrzy: jechał z rozpaczliwym postanowieniem, żeby  
umiejętniej niż za pierwszym razem ukryć się, zaprzepaścić na  
szerokim świecie i wstyd swój w bezdniach zapomnienia po-  
grzebać

To też i z ojcem serdeczniejsze niż kiedykolwiek było po-  
żegnanie, gdy tenże odwiózłszy syna do Szopronia, rozstawał  
się z nim następnie.

Zaledwie odjechał z powrotem do domu, Szandor pobiegł  
do koszar i zaciągnął się do wojska...



Lipa prastara.

Biedna matka nie mogła pojąć co działo się z ukocha-  
nym jedynakiem od tej chwili, w której dobroduszny dzieciak  
połknął truciznę, dosyć niezręcznie w nieudolnej piosence  
podaną, o czem nigdy nikomu nie wspomniał. Była to pierw-  
sza w życiu tajemnica, jaką miał Szandor przed matką. Nie  
mógł się przecież zwierzyć, nie mógł powiedzieć że „ojciec go  
zgubił, że świat mu zawiązał”... Nie mógł, bo takie wyrazy  
nie przeszłyby mu przez usta; jednak odurzony chłopiec sam  
sobie w duchu je powtarzał i pewny był ich słuszności. Cho-  
dził odtąd koło domu przez czas pozostający do wyjazdu mi-  
lczący, pograżony w namysłach, ponury, istotnie jakby struty,  
kryjąc się przed obcymi do izby na strychu. Dopiero przy  
ruszaniu w drogę do Szopronia, siadając już na wózek, uści-  
skał matkę z takim serdecznym zapałem, jak dawniej niegdyś,  
tak gorąco, że aż wstrząsła się, zaniepokojona na nowo. Nie-  
dobre jakieś przecucie owładnęło sercem biednego matczyśka.

— Zginę w pierwszej bitwie uczciwą i zaszczytną śmier-  
cią — powiedział sobie. — Cóż mi więcej pozostaje na tym  
padole, gdzie zamiast sławy i laurowego wieńca, okryty zosta-  
łem śmiesznością... hańbą!... — Biedny wyrostek z właściwą  
młodości przesadą wyobrażał sobie, że ponieważ wyśpiewał czy  
napisał kilkaset wierszyków, które wszyscy pasterze i szegeny  
legeny w puszczie i w lasach powtarzali przy ogniskach, tedy  
i cały świat się nim zajmuje i... naśmiewa się teraz z niefor-  
tunnych jego przygód, jak mu to powiedziała cyganka.

(d. c. n.)

## CHRABĄSZCZE.

Gdy po długim zimowym śnie, ziemia poczyna zielenić się  
a drzewa okrywać liśćmi, wówczas można zauważyć osobliwie

zjawisko: drobne grudeczki piasku miejscami drgają, poruszają się, a z pomiędzy nich wychodzą powoli małe istotki w płowokasztanowatych, twardych połyskujących pancerzach, z dwoma różkami na głowie. Każdy różek składa się z dziesięciu członków, czyli cząstek i daje się niby wachlarz damski składać i rozkładać. Oczy ich złożone z wielu sześciobocznych oczek, wyglądają jak siatka, jeżeli na nie przez mikroskop patrzeć będziemy, a gołemu oku przedstawiają się jak dwa nieruchome błyszczące punkciki, wielkości lepków od szpilek.

Istotki te, wychodzące niby duchy z pod ziemi, są to chrabąszcze, bardzo szkodliwe owady — a wróżką która

czynku. W locie, chrabąszcz temi właśnie przezroczystymi skrzydełkami porusza, pokrywę trzymając nad niemi wzniesione.

A warto jest obserwować to małe stworzonko, gdy się spობi do lotu: potrzebuje ono do tego niemniejszych przygotowań, jak marudny podróżny wybierający się w daleką drogę. Nadyma się, rozwija wachlarze, dysze bokami, macha wzniesionymi pokrywami, żeby nabrać w siebie, to jest w tchawki, świeżego powietrza—bo chrabąszcz nie oddycha płucami, ale małemi otworkami znajdującymi się między obrączkami jego ciała. Taki ładunek powietrza ułatwia mu podróż, bo ono zmniejsza podczas lotu jego ciężar gatunkowy. Skończywszy ła-



Chrabąszcze.

je z tamtąd na świat wywołuje; jest słońce wiosenne; ciepłe jego promienie ogrzewając ziemię, dają im znać że uczta już dla nich zastawiona. Do tej uczty chrabąszcz ma szczęki straszliwie uzbrojone: są one ostre, zagięte haczykowato, a poruszają się nakształt obcęgow—to też gdziekolwiek sięgniesz, tam liście zamieniają się w strzępki i nici. Skrzydeł chrabąszcz ma czworo: górne nazywane zwykle pokrywami, brunatne i twarde, służące nietyle do latania ile do osłony miękiego grzbietu, i dolne z błonki przezroczystej, porysowanej żyłkami; że zaś są dłuższe od górnych, więc siadając chrabąszcz układa je pod pokrywami starannie w fałdy, niby elegantka dbająca o niepogniecenie sukni — i tak trzyma przez cały czas spo-

dunek, rozpościera skrzydła i ulatuje; ale pomimo tych długich przygotowań, leci niezgrabnie, ociężale, w prostym kierunku, wskutek czego uderza często o przedmioty lub osoby napotkane na drodze. O zwinnych, szybkich obrotach, nie ma nawet wyobrażenia. Lecąc daje znać o sobie brzęczeniem — a przyczyną tej muzyki jest drganie jego skrzydeł. Nóg chrabąszcz ma sześć: każda kończy się haczykowatymi pazurkami, którymi czepia się drzewa jak wiewiórka. Sposób w jaki ten owad sypia, wydałby się nam, ludziom, bardzo niewygodnym; chrabąszcze bowiem sypiają do góry nogami, uczepione spodniej strony liścia — widocznie jednak inne mają wyobrażenie o wygodzie niż my, skoro się tak urządzają. My sy-

piamy w nocy a pracujemy w dzień, chrabąszcze odwrotnie: w dzień śpią a w nocy pracują, jeżeli obgryzanie liści z zieleni, może się nazwać pracą. Ciepło tak lubią, że w dniu dżdżyste i zimne tracą zupełnie humor i gnuśniejają — ale upału wielkiego nie znoszą, dla tego ukryte w zielonej zasłonie liści, przesyłają gorętszą porę dnia i dopiero gdy zmrok zapadnie, zaczynają żyć życiem ruchliwyszem, jak sowa lub nietoperz.

Chrabąszcze rodzą się sierotami: matka zagłębia się na kilka cali w pulchną ziemię, urabia tam sobie kotlinkę, niby wygodne i zaciszne od wszelkich trosk świata schronienie, składa w nią kilkadziesiąt jajek i umiera. Po czterech do sześciu tygodniach, grób zamienia się w kolebkę: z każdego jajka lęgnie się istotka wcale do matki niepodobna, gąsieniczka zwana także pędrakiem. Ciało jęj miękkie, jasno żółtawe, zgięte jest łukowato, głowa twarda, rogowa; tylko szczęki ostre i sześć nóg odpowiadających odnóżom chrabąszcza skrzydlatego, przypominają cechy rodowe. Gąsienica od chwili urodzenia myśleć musi sama o swoim losie — gorliwą też w tym kierunku rozwija energię: je prawie bez ustanku, a pokarmu jęj nigdy nie brakuje, podgryza bowiem korzonki roślin. Straszne to przejście w życiu tych ostatnich! Biedne roślinki nie widzą nawet swego wroga i nie mogą z nim walczyć, czują tylko że organa służące im do czepiania pożywnych cząstek z ziemi, coś pocięta, i że życie ucieka tą właśnie drogą, którą powinno przybywać... Zrazu zielone, świeże i kwitnące, opuszczają smutnie główki, żółkną i obumierają powoli. Choroba jest śmiertelna: trzej wielcy doktorowie: słońce, powietrze i wilgoć, nie mogą ich już uratować, bo najżywotniejsze siły organizmu zostały zniszczone! Tak marnieją miejscami niwy, łąki, zagajenia leśne i szkółki drzew owocowych, bo pędraki niejeden rok ale trzy lata w ziemi gospodarują, więc czego w jednym roku zniszczyć nie zdołają, to w drugim i trzecim dokończają. Przez te trzy lata podziemnego życia, pędrak zmienia naskórek kilkakrotnie, bo odzienie jego nie jest zrobione na wyrost, ani też może się rozciągać — więc stając się zaciasnem, pęka, a na ciele gąsieniczki nowe narasta okrycie, które znów pęknie i spadnie z niej, gdy okaże się niewystarczającym.

Gąsienice jednego gniazda trzymają się z początku razem, jak kurczęta, później rozchodzą się w różne strony, szukając każde pożywienia na własną rękę i dziurawią ziemię mnóstwem nor i chodników. Dorosły pędrak traci nagle apetyt, idzie głębiej w ziemię i chociaż nie ma rydla ani łopaty, urządza sobie gładką, zaciszną sypialnię, zrzuca po raz ostatni niewygodną suknię i przemienia się w poczwarkę, która ani je, ani chłodzi, tylko pozostaje nieruchoma, jakby odrętwiała. Zasypia na kilka tygodni, i dopiero gdy ciepłe promienie słońca przenikną ziemię, gąsieniczka odczuwa wezwanie wiosny i budzi się ze snu całkiem inna niż się spać położyła — bo już nie w swojej gąsienicznej postaci, ale w postaci skrzydlatego chrabąszcza. Jest on zrazu białawy i miękki, staje się jednak zwołna twardym i barwnym. Pozostaje jeszcze czas jakiś w ziemi i w miarę jak stopniowo w siły wzrasta, podnosi się coraz wyżej, aż nareszcie wychodzi na powierzchnię ziemi, niby duch wywołany zaklęciem. Wydobywanie się to z głębi, przychodzi mu z wielką trudnością, nie posiada bowiem ryjka ani nóg grzeblnych — a choć żył dotąd korzonkami, choć nikt mu nie powiedział że zielone liście na drzewach są dobre do jedzenia, choć mieszkając w głębi ziemi, świata wcale nie widział, sunie prosto w kierunku drzew, nie pytając o drogę, gramoli się na nie i jest jak u siebku w domu.

Jeżeli pogoda przez parę lat z rzędu sprzyjała rozwojowi liszek w ziemi, to chrabąszcze rzucają się na drzewa owocowe i leśne w takiej ilości, że te uginają się prawie pod ich ciężarem; a szczególnie z iglastych smakują im modrzewie, z liściastych dęby, kasztany, klony, brzozy i topole. Z owocowych lubią przedewszystkiem śliwy i wiśnie; w tydzień, ogołoczone z liści, drzewa przybierają postać zimową, a wtedy niema już co myśleć o owocach, bo cały zapas soków jakie przygotowały do wydania ich, zużytkować muszą na wytworzenie liści bez których żyć w lecie nie mogą. Gdyby chrabąszcze i ich pędraki nie stanowiły smacznej zwierzyny dla kretów i nietoperzy, oraz dla ptactwa, które nietylko chwytają je w locie, ale wykopuje z ziemi tłuste pędraki, ludzie nie daliby sobie z nie-

mi rady. O ogromnej ilości pędraków w gruncie, najłatwiej przekonać się, idąc za krającym ziemię pługiem, który na wierzch je wydobywa. Pędraki są szkodliwsze wiele niż chrabąszcze wykształcone: W roku 1866, w W. Ks. Poznańskim w lasach Kórnickich, zaczęły niszczyć zagajenia sosnowe. Szły pasami pod ziemią i wycinały systematycznie jedną sadzonkę po drugiej, przegryzając korzenie nieraz na ósmą część cała grube. Litość brała patrzeć na pozółkłe sosenki z opuszczonymi ku dołowi iglicami. Dla ocalenia reszty zagajen, kopano rowy i tym sposobem wstrzymano dalszy pochód niszczycieli. W miejscowości tej znajdowało się po sto do stu sześćdziesięciu pędraków na jednym przecię kwadratowym gruntu, a zatem do dwudziestu kilku tysięcy sztuk na morgu. Co za straszliwa armia! We Francji w tymże roku, w samym tylko departamencie Niższej Sekwany obliczono szkody wyrządzone przez pędraka na dwadzieścia pięć milionów franków. W roku zeszłym, chrabąszcze w takiej massie nawiedziły Francję, że w wielu okolicach urządzono na nie formalne polowanie. W niektórych gminach schwymano i zniszczono po trzy i po cztery tysiące funtów tych owadów.

Potrzeba tępienia chrabąszczów nie upoważnia jednak dzieci do pastwienia się nad nimi: chrabąszcz ani jego pędrak nie są nic winne temu, że instynkt wiedzie je do wyrządzania ludziom szkody. Działają one w duchu swojej natury i swoich potrzeb, niesłusznie więc byłoby karać je za to. Można zabijać zwierzęta, gdy pożytek ludzi tego wymaga, ale niekczemnością jest czynić to dla igraszki i pastwić się nad bezbronem stworzeniem. Woły zabijane są codzień na pożywienie nasze, a przecież ludzie przemysłiwają ciągle nad tem, jakby im cierpień przedśmiertnych oszczędzić, i wymyślili sposób zabijania iskrą elektryczną, sprowadzającą śmierć w okamgnieniu. Dziecko znoszące obojętnie widok cierpienia jakiegokolwiek bądź istoty, nosi w piersi serce niehumanne, i zamiast być pożytecznem społeczeństwu, stanie mu się z czasem szkodliwsze niż pędrak i chrabąszcz — bo ma rozum, który mu złe lepiej obmyśleć pomoże, gdy chrabąszcz idzie tylko za ślepym instynktem.

Wiele jest na świecie stworzeń, których potrzeby istnienia nie rozumiemy — i dopiero przypadek jakiś uczy nas w jaki sposób możemy z nich skorzystać. Do takich należą i chrabąszcze. W dobrze prowadzonych gospodarstwach, otrząsają je co rano z drzew i obracają na dwojaki użytek: na nawóz użyźniający rolę, albo na pokarm dla drobiu, i trzody; na ten ostatni cel, daje się chrabąszcze wysuszone i zmielone na mączkę.

Tym sposobem straty jakie chrabąszcze nieujęte wyrządzają w gospodarstwie, w części nagradzają się korzyściami, ale należy zbieranie szkodników prowadzić corocznie, z wszelką systematycznością, niszcząc nietylko wykształcone już owady, lecz i pędraki. Powinno to być dokonywane wspólnymi siłami, bo żaden gospodarz nie uratuje od szkód swego pola lub ogrodu, jeżeli sąsiedzi w tem pomagać mu nie będą.

Chrabąszcz lęgnie się co cztery lata, a chociaż tak długiego czasu potrzebuje dla zupełnej dojrzałości, żyje bardzo krótko, zaledwie parę tygodni. Pojawia się zwykle w połowie kwietnia i w maju, należy do owadów tęgoskrzydłych, do rzędu chrabąszczów. W języku naukowym nazywa się *Melolontha*. Ten którego widzicie na rycinie, zowie się *lipczak*, dla tego że nie w maju ale znacznie później, bo w lipcu dopiero się pojawia.

Zofia Urbanowska.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Coś podobnego do mruku jęklowego i do płaczu zarazem, dało się słyszeć z głębi rozpadliny i w chwilę później ukazał się myśliwiec, pełznąc po skałach i niosąc stworzenie wielce podobne do czarnego pudła.

— Większe są niż myślałem — rzekł do kapitana — i dały mi dosyć do roboty. Rękawiczki nie były wcale niepotrzebne ze względu na ich zęby i pazury. No, bierzcie tego... — dodał podając Melchiorowi to, co przyniósł, i wśliznął się na nowo w rozpadlinę.

— Niema czasu do stracenia — rzekł po chwili powracając z drugim pudłem — trzeba matce spłatać figła, jeżeli chcemy żeby nas nie gonila.

— Co pan zamierzasz? — spytał kapitan.

— Zaraz zobaczycie — odrzekł, jednocześnie ujawszy dwa niedźwiedziatka, pogrążył je w strumieniu płynącym na dnie parowu, potem trzymając je zawsze razem, udał się w inną stronę urwiska. wytarł dobrze w trawie ociekające wodą zwierzątko, włożył je potem w spory worek, który wraz z niemi zarzucił na plecy.

— Teraz dalej w drogę! najkrótsza, najlepsza! — rzekł, i wdzierając się po urwistej ścianie wąwozu, stanął wkrótce przy swych towarzyszach, nad jego brzegiem. Zaledwo się tam dostał gdy natychmiast padł jak długi twarzą do ziemi, skiniemieniem nakazując towarzyszom uczynić toż samo:

— Wiedziałem, że niema czasu do stracenia... stara idzie!... — mrucał

Z przeciwniej strony rozpadliny skalistej biegła niedźwiedzica kołyszając się z boku na bok. Szła brzegiem strumienia, wiodąc nosem przy samej ziemi, zapewne węsząc własny swój ślad na drodze, którą przebyła wychodząc z domu; ale przybywszy do miejsca, na którym myśliwy złożył chwilowo niedźwiedziatka, stanęła, zaczęła węszyć naokoło, potem powstawszy na tylnie łapy, zaczęła mocować się ze skałą, o którą myśliwy ocierał ich futra. Biedne zwierzę sądziło, że małe znajdujące się za tą skałą. Silnemi łapami niedźwiedzica rwała i odrywała kawały skał, które spadały w rzekę z hałasem roznoszonym przez górskie echo. Od czasu do czasu przestawała pracować, wydawała ryk straszny i bolesny zarazem, i znowu zabierała się do roboty. Wzruszającą była zaciekłość z jaką pracowała. Przywiązanie do małych zdwajało jej siły, rozrzuciła olbrzymie złomy skał.

— Jest zatrudniona — rzekł sierżant powstając cicho — korzystajmy z jej zajęcia i zmykajmy wzięwszy nogi za pas; nie widziała nas, a zanim skończy swe poszukiwania, zyskamy z milkę drogi: dalej w drogę!

Rozpoczęto się wdziierać na skały, z powrotem z wielką niechęcią Tomka, którego niezmiernie zajmowała niedźwiedzica.

— Szukaj stara, szukaj! — powiedział myśliwiec puszczać się w drogę.

— Czy sądzisz pan że niema niebezpieczeństwa aby nas ścigała? — zapytał Tomek.

— Nie; nie widziała nas.

— Ale może zwęszyła swoje dzieci.

— Nie, dzięki temu, że zmyłem je w wodzie.

Wkrótce przyłączono się do Menita i Dabby Simona, który równie jak Czarnulo nie pragnął próbować trudnych drożyn skalistych.

— Nigdy jeszcze nie byłem w tej stronie gór, nigdy nie potrafię odszukać drogi do Antigna — rzekł Dabby mocno zakłopotany.

— Czy pan Kortina nie byłby łaskaw wyprowadzić nas na drogę?

— I owszem, chętnie odprowadzę panów aż do San Miguel — rzekł sierżant śmiejąc się, bo wszyscy przybywający, bywają zawsze gościnnie przyjmowani w klasztorze, a porządna wieczerza przydałaby się po naszej wyprawie. To tylko bieda, że San Miguel jest jeszcze tak, daleko że nie staniemy tam dzisiaj. Tymczasem zaprowadzę was ot tam niedaleko, gdzie dostaniemy chleba i miodu. Będziemy śniadać, oczekując obiadu.

— Alboż tu jest domostwo jakie w tych skałach?

— Nie; ale jest siedziba starego myśliwca na dzikie pszczoły, czyli rozbójnika uli. Jest takich dużo w tych stronach.

Jakób Gomez dziwną był osobistością. Odziany w pe-

wien rodzaj spodni skórzanych i taką kurtkę, i nic więcej, od wierzchu czoła aż do końca stóp zdawał się pomalowany na żółto i pociągnięty werniksem. Gęste włosy i długa broda zlepione miodem, tworzyły po obu stronach twarzy dość dziwne zbite masy.

— Jak się masz! Jakóbie! — zawołał sierżant wchodząc i przyjacielsko uderzając po ramieniu rozbójnika pszczolnego, ale z trudnością przyszło mu odjąć rękę jakby ją do smoly przyłożył.

— Ty stary nieporządny potworze, czemu się nie myjesz? — zawołał.

— Myć się? a na cóżby się to zdało mój przyjacielu? — odpowie Jakób najspokojniej. Nazajutrz po umyciu byłbym znowu miodem pokryty, bo w tem jest rzecz, że codzień znajduję nowy rój! Chłopcy z Guatamala radziły wiedzieć jak się biorę do tego? ale nie domyśla się nigdy. Wprzódy ja zyskam beczkę miodu, niż oni filiżankę. Mógłbym się prędko zzbogacić, ale mój synowiec bierze dolara za każdą baryłkę którą do Antigua odstawia.

— Dla czegoż nie odstawiasz sam? — spytał sierżant.

— Do Antigua? Boże broń! muchy zjadłyby mię żywcem gdybym spróbował — rzekł wesoło. — Nie; ja jestem górski człowiek.

— Gdzie sypiasz w nocy panie Gomez? — spytał Tomek zajądając wyborny miód z chlebem, który pozostawiał wiele do życzenia pod względem wypieczenia i białości.

— Pod którym bądź drzewem gdy jest pogoda. Ale jeżeli ma padać, jestem przestrzeżony przez moich proroków, i chronię się do jaskini tej oto... w skałe.

— Przez jakich proroków? — pytał chłopak ciekawy, a ciekawość jego zdawała się bawić starca. Zaprowadził go okrażając drzewo olbrzymie, do skały wapiennej, prostej jak mur i blisko 50 metrów wysokości. Na szczycie tej naturalnej warowni, sępy założyły swoje fortece. Wielkie te czarne stworzenia o czerwonej głowie, usadowiwszy się na tej skałe, sprawowały się tak prawie jak ludzie, którzy wiedząc że ich warownia jest niezdobyta, czują się niezależnymi. Gniazda ich wydrążone w ścianach skały, były ścięśnione jak komórki w plastrze miodu. Sępy latały naokoło, a piskłeta ich wychylając gołe głowy z każdego otworu, zdawały się wołać obiadu.

— Gdy deszcz ma padać, sępy-rodzice wracają do domu, nie myśląc się nigdy — rzekł stary pszczolarz.

— To znaczy, że pan nie potrzebujesz barometru, to dobrze, ale czy pan się nie nudzisz w samotności? — spytał Tomek.

— W samotności? — powtórzył stary pustelnik — ja nie jestem samotny, mam psa, i z pół tuzina łasic, które żywią pozostałościami miodu.

— No, dosyć tego, trzeba nam ruszać w drogę — zawołał pan Kortina. — Nie przybędziemy do San Miguel jak jutro o południu, a może deszcz będzie padać w nocy, jeżeli wierzyć mamy sępom naszego przyjaciela pszczolarza. Poprowadzę was do obozowiska, w którym przepędzimy noc przepyszną.

Południowy stok Kordylierów, jest prawie zupełnie niezamieszkały; mnóstwo skał i górskie łąki rozciągając się nieprzeliczonemi milami, przedstawiają się tam jedynie oczom wędrowca. Nigdzie nie widać śladu ludzkich siedzib. Nad wieczorem wszakże, wędrowcy przybyli do opustoszałej chaty, która przypominała dostatecznie domki pasterskie w Alpach. Melchior sądził że to o tem schronieniu mówił im sierżant.

— Co? ta buda? — zawołał Kortina — nie bójcie się, nie ja was do niej zaproszę. Wprawdzie raz mi się to zdarzyło, ale nie zdarzy się więcej. Nie zmrzyłem oka przez całą noc. Tam pod dachem jest całe pokolenie papug osiedlone, które krzyczą od wieczora do rana bez przerwy, jak dzikie koty. Mam ja dla was co lepszego.

— Daj Boże — rzekł Melchior — bo oziębła się znacznie, i może mróz być tej nocy.

— Tylko nie tam gdzie was prowadzę; zaczekajcie, aż zobaczycie.

Tomek roztwierał oczy co najszerszej, aby zobaczyć hotel pierwszorzędny lub pałac, które zdawał się sierżant zapowia-

dać, gdy przewodnik zapuścił się z nimi w wąwoz, nad którym panował skalisty występ jak dach. Wichry nagromadziły w tem miejscu chmurę suchych liści. To był nocleg o którym mówił im sierżant.

Tomek nie mógł ukryć zawodu.

— No, to znajdźcież mi miłsze mieszkanie — rzekł Kortina; — próżnobyście szukali go i w Vera Paz, zgromadzimy tylko te liście i zobaczycie!

Każdy, zarówno zawiedziony jak i Tomek, posłuchał przecież rady sierżanta, potem rozpięto namiot nad gromadą liści. Było ich tam tyle, że można było napchać setki sieniników.

— Nakładziemy ich jeszcze na kołdry — rzekł Kortina a będzie nam cieplej niż przy najgorętszym ognisku. Zresztą ogień może wygasnąć, wtedy budzisz się zmarznięty. Tymczasem w takim puchu jak ten, niema tego niebezpieczeństwa.

Pogrążywszy się w tem zaimprovizowanym łożu, wędrowcy musieli przyznać że trudno było o miękniejszy i cieplejszy nocleg. Zasnęli też wkrótce głęboko.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Czy słyszeliście też kiedy, żeby żółw użytym był do zaprzęgu, ten żółw, którego nadzwyczaj powolne ruchy stały się przysłowiowe? Na jakie jednak pomysły nie wpadają ludzie, którzy lubią rzeczy oryginalne! Otóż pewien Anglik, dla zabicia nudów zapewne, powziął zamiar użycia żółwi morskich do ciągnięcia łodzi; stworzenia te bowiem przy swej wielkości mają też i dostateczną siłę, a w wodzie poruszają się znacznie szybciej jak na ziemi. Aby plan swój wykonać, pan ów, zakupił dwa piękne okazy żółwi i kazał sporządzić do ich miary cały piękny zaprząg z munsztukami, lejcami i t. d. i założył je tak do maleńkiej łodzi, jak się zakłada konie do pojazdu. Wsiadłszy sam do tego całkiem nowego ekwipażu, spuścił łódź na wodę i pokierował żółwiami na pełne morze. Podróż z początku nie zostawiała nic do życzenia: żółwie płynęły dość szybko, ciągnąc za sobą łódź z naszym podróżnym, który był zachwycony swym wynalazkiem. Trzeba było jednak powrócić do brzegu, bo słońce miało się już ku zachodowi. Tu dopiero jednak okazała się niedogodność nowego pomysłu; żółwiom bowiem podobało się widocznie bujać na powierzchni wody i podążały coraz to dalej. Naprzód nasz woźnica ściągał lejce to w lewo to w prawo, noc zapadła wreszcie, a oryginalny zaprząg nieczuły był na wszelkie kierowanie. Przestraszony swem położeniem, zrozumiał amator rzeczy nadzwyczajnych, że pozostało mu jedynie odprządz żółwie i puścić je na wolność, a samemu za pomocą wiosła, w które się dość przezornie zaopatrzył, powrócić do brzegu. Tak też uczynił, przyrzekając sobie, że drugi raz nie popróbuje tego nowego systemu podróży po wodzie.

### ZAGADKA.

dla czytelniczek Wieczorów.

Na całym świecie jam potrzebną bardzo  
Bo żywią ludzi — leniwcy mną gardzą.

Człowiek zaś co mnie polubił od młodu  
Nie zazna nigdy nędzy ani głodu.  
Jeżeli nikt dotąd odgadnąć nie może,  
To objaśnienie wam jeszcze dołożę:  
Bez pierwszej z początku litery  
Kiedy tylko mam głosek cztery,  
Wystrzelam w górę sypiąc iskry jasne,  
Ale po chwili wnet w ciemności gasnę.

### ZADANIE KONIKOWE.

něj	trzo	chy	chat	sna	szczu	dze	a
	17				17		
gma	ła	w sła	pła	cu	ka	ja	łę
	15		18				18
da	kwia	ca	py	sz	ni	le	u
	20			26			
ma	żli	to	o	ob	mie	chwa	da
		15	10	1	4	15	
tem	chat	gactw	dla	cha	mo	stóp	wła
	21	6	3	27	21		
ni	le	szat	cha	z bo	sna	wo	je
	9	11	8	5			22
ka	brzę	by	lep	mych	stru	je	gó
	22			12		14	
ca	sza	ci	czy	skar	ry	sto	dze
	2	23				13	

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

#### Szarady:

K o ł o d z i e j e .

#### Zadania arytmetycznego:

$$\begin{array}{r}
 A = 5435 \qquad \qquad \qquad 5435 \\
 B = 5345 \qquad \qquad \qquad 5345 \\
 \hline
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 27185 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 21740 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 16305 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 27175 \\
 \hline
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 29050075
 \end{array}$$

#### Rebusa:

Słowo wróblem wyleci a wołem powraca.

**TREŚĆ:** Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzeworytami). — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Chrabąszcze, p. Zofię Urbanowską. (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kocia muzyka (z drzew.) — Pamiętnik ołówka. — Łamigłówki i rozwiązania. — Wróbel, gra. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## KOCIA MUZYKA.

Ośmioletnia Marynia zaczęła się uczyć na dobre; miała codziennie cztery godziny lekcji, a poza tem jeszcze odrabiała zadania i ćwiczyła się na fortepianie. Najpierw grała „pięciopalcówki”, potem gamy, a nakoniec uczyła się małego kawałeczka, którym miała zrobić mamie niespodziankę na imieniny. Ale ta nauka szła bardzo kulawo, bo leniwa dziewczynka zamiast zadanych

przeprosiła i przyrzekła, że odtąd staranniej się będzie ćwiczyła.

I dotrzymała słowa; odtąd grała codziennie tak, jak jej kazano, robiła wielkie postępy. Obecnie jest już dorosłą panną, udziela lekcje muzyki, a zapracowane pieniądze oddaje rodzicom, którzy w skutek rozmaitych nieszczęść stracili cały majątek.

Ale piękny duet z Burkiem zachowała w pamięci i śmieje się ilekroć go sobie przypomni.



Kocia muzyka.

ćwiczeń, wołała wygrywać melodyą krakowiaka, lub mazura, fałszywie że aż uszy bolały. Gdy pewnego razu jednym palcem bębniła po fortepianie i nuciła przytem ulubione „wlaź kotek”, zjawił się w pokoju szary kotek we własnej swój osobie, a zaciekawiony co o nim śpiewają, wskoczył na klawiaturę.

— Przynajmniej się Burek poznał na mój muzyce— pomyślała Marynia i zaprosiła faworyta do gry na cztery ręce. Burek uszczęśliwiony z tego zaczął wesoło wyśkakiwać po klawiszach basowych, Marynia tymczasem improwizowała z całym zapalem w violinie, no, i jak się pewno domyślicie, wytworzyła się z tego tak piękna prawdziwie kocia muzyka, że bębenki mogły w uszach popękać.

Wtem drzwi się otworzyły i weszła nauczycielka.

— Maryniu — powiedziała — czy to tak grzeczna panienska spełnia swój obowiązek?

-- Marynia zaczerwieniła się po uszy ze wstydu,

## PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

Byłem sobie kawałkiem grafitu...

Pewnego razu przebudziły mnie z uśpienia jakieś szmery, jakby lekkie pukanie, które stawało się coraz głośniejsze, coraz bliższe, potem dał się słyszeć szelest spadających odłamków skał i piasku, aż w końcu ostre ciało przesunęło się tuż koło mnie, i zniknęło, a na jego miejscu ukazał się jasny, błyszczący punkcik. Wkrótce jednak narzędzie znów się zaczęło zagłębiać, aż wreszcie duża bryła potoczyła się pod nogi górnika, który pracował nad jej odłamanem. On ją wziął w ręce i położył na wózku... ja to znajdowałem się teraz w towarzystwie wielu innych brył, i potoczyliśmy się po szynach, w górę. Niezmiernie byłem ciekawy gdzie nas wiozą, wreszcie zobaczyliśmy duży otwór, przez który wydostaliśmy się na zewnątrz, olśnieni światłem, któreśmy po raz

pierwszy oglądali. Pełno tam było takich samych wózków jak nasz, a w około nich kręciły się jakieś dziwaczne postacie, o których dowiedziałem się później, że byli to ludzie. Jeden z nich porządnie ubrany, rzekł wskazując na nas: dobra bryła, zaniesć ją do szlifierni — i zanieściono nas do jakiegoś wielkiego budynku, gdzie nas rozłamywano na części, tarto, gładzono, szlifowano, aż stałem się pięknym, czworograniastym kawałkiem. Oprawiono mnie wtedy w okrągłe, żółte drzewo i z podobnuteńkimi towarzyszami włożono w pudełko; wiele takich pudełek opakowano, i wyruszyliśmy w nieznaną mi drogę... Czułem że mnie wiozą, że jadę, wreszcie zatrzymano się, ktoś rozpakował pakę i wyjął pierwsze z brzegu pudełko... w niem to właśnie ja się znajdowałem. Zacząłem rozglądać się w około, i zobaczyłem się w dużym pokoju, obstawionym szafami, w których było mnóstwo nieznanym mi przedmiotów; umieszczono nas za szybą okna, wychodzącego na ulicę. Ztąd przyglądałem się ludziom przechodzącym, widziałem biednych, bogaczy, starych i dzieci, przesuujące się pojazdy, drożki... Mnóstwo osób sklep nasz odwiedzało, nikt się jednak o mnie nie zapytał... wreszcie usłyszałem świeży głosik chłopczyka:

— Proszę ołówków Fabera!

Kupiec podał paczkę w której się znajdowałem, chłopczyk zapłacił i zabrał nas do kieszeni, zaniósł do ładnego dzieciennego pokoju, zatemperował mię, usiadł przy stole i zaczął rysować. Rysował z wielką uwagą, w porządnym zeszycie, oczy, uszy, nosy, usta, których na każdej karcie wzory były już narysowane, przez nauczyciela, chłopczyk wedle tego wzoru rysował drugie. Wtem ktoś zawołał: „Stasiu” i mój właściciel Staś wybiegł, położywszy mię na stole, a rysunki ukrywszy starym pod innymi zeszytami i książkami. Ledwo wyszedł, usłyszałem szelest jakby ptasich skrzydeł, wbiegła dziewczynka ośmioletnia może, szeleszcząc jasnemi świeżemi u sukieneczki falbankami, przyskoczyła do stołu, popatrzyła i żywo zaczęła czegoś szukać, ostrożnie jednak bardzo, aby nieładu nie narobić. Szukała aż znalazła zeszyt z rysunkami, obejrzała je, potem chwyciwszy mnie, napisała na luźno leżącej ćwiartce papieru dużemi literami:

Tu mieszka pan Stanisław L.  
Wielki Artysta-malarz!

Chwyciła mię w ząbki, a ćwiartkę tę przyczepiła na zewnętrznej stronie drzwi pokoju, za pomocą szpilek, wyjmując je ze swego ubrania, a wciskając pocichutku z całej siły paluszkami w ćwiartkę i w drzwi, gdy wtem szybkie kroki dały się słyszeć i dziewczynka uciekła, mknąc jak ptak do innego pokoju. Ten, podobny był do pokoju Stasia, z tą różnicą że w nim prócz książek i zeszyków, pełno było lalek i ich sprzętów, szafeczek, komódek, a przytem na pierwszym miejscu stała mała maszynka do szycia, z rozpoczętą w niej lalczyną bieliną. Rzuciwszy mię pośpiesznie do ładnego pudełeczka, pomiędzy inne ołówki i pióra, dziewczynka zakłopotana się dopiero okropnie:

— Och — szepnęła — ależ to ja wzięłam z sobą ołówek Stasia!... i cóż to teraz będzie?... — Szybko usiadła do maszyny i szyć zaczęła śpiewając:

W sadzie chatka jest maleńka,  
A u okna ścieżka...

Puk, puk, ptaszek do okienka  
Pyta: „kto tam mieszka?”

Jeżeli chłopiec zawadyaka

To ucieknę w lasy,

Jeśli dziewczyneczka jaka

To po wszystkie czasy,

Uścielę tu swe gniazdeczko

Nad różami w górze,

Będę śpiewać ci dziewczeczko

Tak jak pachną róże.

Tak wyśpiewując głośno i szyjąc przy odgłosie donośnym turkoczącej maszyny, dziewczynka dusiła się jednocześnie ze śmiechu, a z innych pokoi, słychać było tymczasem głośną rozmowę:

— „Tu mieszka pan Stanisław L. Wielki artysta-malarz” — deklamował z przesadą głos mężki — patrzcie państwo! to my nie wiemy że mamy taką wielkość w rodzinie!

— Proszę wujka, jak wujka kocham tak to nie ja napisałem i nie widziałem nawet tego! Proszę mamy kto to napisał? kto sobie tak żartuje ze mnie? — wołał żałośnie głosik Stasia.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ulożona przez Pomarańczkę rzymską dla Gołąbki.

Pierwsze - drugie ptaszek będzie,  
Trzecie znajdziesz w liter rządzie.  
Wszystko ptaszek nasz kochany,  
Niewinności godłem zwany.

## Trójkąt geograficzny.

(od E. M. dla Janinki z Nowego dworu).

```
* * * * *
*
*
*
*
*
*
*
```

Zapełnić kropki literami aby odczytać w rzędzie pierwszym i poziomym nazwę gór w Afryce. Znaczenie wyrazów: 2. Kolonia w Hiszpanii. 3. Miasto we Francji. 4. Rzeka wpadająca do Dunaju. 5. Rzeka na Kaukazie. 6. Rzeka w Niemczech. 7. Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Szarady:

Ż a b k a.

## Łamigłówki w kwadraciku:

```
A m o r
m o r a
o r a n
r a n a
```